



KLIMIEK

POLSKIE TOWARZYSTWO TATRZAŃSKIE
BIULETYN INFORMACYJNY ZARZĄDU
ODDZIAŁU SOSNOWIEC



ROK XV

KWIECIEŃ 2010

2(55)

„Kulturotwórczość i pasje życia Mieczysława Karłowicza”

Minęło przeszło 100 lat od odejścia z tego świata kompozytora, dyrygenta i tatarnika Mieczysława Karłowicza. Jego twórczość w XX wieku miała cenne znaczenie dla rozwoju polskiej symfoniki. Do tej twórczości był dobrze przygotowany, gdyż znakomicie rozwijał się w rodzinie ziemiańskiej o rozległych zainteresowaniach i wielkiej kulturze. Ojciec Mieczysława, Jan Karłowicz był etnologiem i językoznawcą, a pracę naukowca łączył z umiejętnościami gry na instrumentach (skrzypce, harmonia i wiolonczela), komponowaniu, tłumaczeniu podręczników do nauki harmonii. Matka Irena z Sulistrowskich była wyuczoną śpiewaczką.

Karłowicz spędził dzieciństwo na Litwie w rodzinnym Wiszniewie. Po sprzedaży majątku ojciec Mieczysława rozpoczął pracę naukową. Mieczysław Karłowicz lata szkolne spędził w Heidelbergu, Pradze i Dreźnie. Od 1887 r. mieszka w Warszawie. W mieście tym Mieczysław Karłowicz kończy Szkołę Realną Górskiego i był wolnym słuchaczem na Wydziale Przyrodniczym Uniwersytetu Warszawskiego. Jednocześnie kontynuował naukę muzyki, kompozycji, historii muzyki, historii filozofii, psychologii i fizyki na Uniwersytecie Berlińskim. Kursem dyrygenckim w Lipsku uzupełnił wykształcenie muzyczne. Był wówczas wzorem nowoczesnego polskiego kompozytora i przyczynił się do rozwoju muzyki europejskiej. Komponował już podczas studiów liczne pieśni do tekstów: J. Słowackiego, Z. Krasińskiego, M. Konopnickiej, A. Asnyka a szczególnie K. Przerwy-Tetmajera. Swymi poematami wzbogacił polską muzykę o najnowsze wówczas tendencje w zakresie instrumentacji i harmonii. Polem działania dla Karłowicza były problemy metafizyczne, egzystencjalne, uczucia i nastroje. Poetycko-filozoficzne komentarze do poematów eksponują: niespełnioną miłość, smutek, tajemnicę bytu i śmierci. Wreszcie dążył do unowocześnienia muzyki polskiej i propagowania twórczości młodych polskich kompozytorów, gdyż pod zaborami kultura muzyczna przyjęła formę stagnacji. Brakowało orkiestr symfonicznych o wysokim poziomie wykonawczym i odpowiednich sal

koncertowych. Dopiero otwarcie Filharmonii Warszawskiej w 1901 r spełniło oczekiwania Karłowicza.

Działał w Towarzystwie Muzycznym, a od 1905 r był dyrektorem muzycznym. Ponadto organizował koncerty muzyki polskiej. Założył orkiestrę smyczkową, w której był dyrygentem. W okresie Młodej Polski współpracował z Ludomirem Różyckim i Grzegorzem Fitelbergiem. Pisał artykuły o tematyce muzycznej oraz z wędrówek po Tatrach, które były Jego pasją.

Tatry poznał w 1889 r w wieku 13 lat. W Zakopanem zamieszkał na stałe w 1907 r w kilku willach. W Zakopanem działał w Towarzystwie Tatrzańskim. Razem z Mariuszem Zaruskim założył Tatrzańskie Ochothnicze Pogotowie Ratunkowe.

Pierwsze wycieczki w Tatry odbył w 1889 r. Były to wycieczki z przewodnikiem na : Czerwone Wierchy i przez Zawrat do Morskiego Oka. Potem z przewodnikiem i samotnie na: Bystrą, Czerwone Wierchu, Giewont, Świnicę, Rysy, Kościelec, Kominiarski Wierch, Granaty, Żółtą Turnię. Był pionierem w wytyczaniu nowych tras i zimowej turystyki narciarskiej. Dokonał m. innymi: pierwszego zimowego wejścia na Kościelec, Wołoszyn, Żółtą Turnię.

Tatry dla niego były symbolem wszechświata. Z wypraw tych powstały artykuły jak: „Po młodym śniegu”, który utożsamiano z poematem „Odwieczne pieśni”, a zawierają one refleksy mistycznych przeżyć kompozytora oraz „Z wędrówek samotnych”.

Mieczysław Karłowicz wykonał setki znakomitych technicznie i artystycznie zdjęć pejzaży tatrzańskich. Jako taternik – fotograf szybciej zdobył sobie uznanie niż w innej twórczości, a Towarzystwo Tatrzańskie umieściło zdjęcia Mieczysława Karłowicza w swoich „Pamiętnikach”. W swej ostatniej wyprawie do Czarnego Stawu- Mieczysław Karłowicz pragnął wypróbować nowy aparat fotograficzny. Wyruszył więc na nartach z Kuźnic przez Boczań i Halą Gąsiennicową do Czarnego Stawu Gąsiennicowego. Ostatnie wykonane zdjęcie to widok Giewontu z Boczania i ośnieżone świerki na Karczmissku z rozległą panoramą szczytów okalających Halę Gąsiennicową. Po niezbędnym odpoczynku w schronisku na hali Karłowicz wyruszył na nartach w swą ostatnią wędrówkę w kierunku Czarnego Stawu. Przysypany lawiną zginął na zboczu Małego Kościelca, zaledwie dwa miesiące po ukończeniu 32 roku życia.

Odkopał go Mariusz Zaruski. Przyjaciele postawili Mieczysławowi Karłowiczowi głaz pamiątkowy w miejscu, w którym go znaleziono.

Karłowicz głęboko przeżywał swe wyprawy tatrzańskie i choć taternickie poglądy jego zostały odrzucone przez taterników, to jego taternictwo i stosunek do Tatr budziły powszechny szacunek.

Opracował: Krzysztof Czesak

„Nie wciągamy prezesów na ośmiotysięczniki”- wywiad Krystyny Naszkowskiej z Leszkiem Cichym- przedruk z „Gazety Wyborczej” z 1.03.2010

KRISTYNA NASZKOWSKA: Szukając w internecie informacji o panu, dotarłam do filmiku „Wyprawy marzeń z Leszkiem Cichym”. Prowadził pan małe grupy turystów po górach i bezdrożach świata. Da się z tego utrzymać rodzinę?

LESZEK CICHY*: Nie dokładam do oszczędności, które mam. Domu sobie też za to nie zbuduję, ale dom już mam. Zarabiałbym więcej, gdybym miał np. 30 wyjazdów w roku. Ale mam 8-10 grup rocznie, z czego dwie są zwykłe na Mont Blanc, więc krótkie i najwyżej czteroosobowe, bo więcej klientów jako przewodnik nie mogę zabrać.

Albo robię to, co lubię, ciągle wyjeżdżam z nowymi, ciekawymi ludźmi w nowe rejony i zwiedzam świat w sposób inny, niż zalecają przewodniki. Dla mnie coś dokładnie opisanego w przewodnikach przestaje być interesujące. Niestety świat staje się straszną cepelią. Kiedy w 1998 r. pierwszy raz byłem na Zanzibarze, to pływałem między delfinami. Wtedy była tylko nasza łódka i trzy stada delfinów. Widziałem, jak kopulują, jak samica karmi młode. Dziś w tym samym miejscu można spotkać jedno przepłoszone stado i z 10 uganających się za nim ludzi. **To, co pan robi, nie jest cepelią? 30 lat temu weszliście wraz z Krzysztofem Wielickim jako pierwsi zimą na Mt Everest, a teraz wciąga pan na szczyty ludzi, których stać, by za to zapłacić.**

- O nie! Ja nie wciągamy prezesów firm na ośmiotysięczniki. Nie organizuję wspinaczek z linami i specjalistycznym sprzętem. Moje oferty są dla normalnych śmiertelników.

Zależało mi, żeby wyprawy nie były ekstremalne i żeby nie musiał do nich dopłacać. Dzięki nim mam kontakt z górami i mogę się utrzymać. Bardzo lubię uczyć, te wyjazdy pozwalają mi wprowadzać ludzi w góry, przekazywać moją pasję.

Wróciłem w 1991 r. Znalazłem pracę w firmie budującej osiedle pod Warszawą. Po roku zobaczyłem ogłoszenie w gazecie adresowane do młodych ludzi znających obce języki. Dał je Wojciech Kostrzewa (obecnie prezes ITT), wówczas prezes Polskiego Banku Rozwoju, czyli pierwszego banku inwestycyjnego w Polsce. Sam go stworzył. Szukał kandydatów na finansistów, ale uważał, że lepiej nauczyć bankowości kogoś, kto się z nią wcześniej nie zetknął, niż oduczać złych nawyków.

Miał pan wtedy już 40 lat.

- Uznano, że jestem młody, bo zostałem stażystą w departamencie inwestycji kapitałowych. Po pół roku byłem zastępcą dyrektora, a po roku dyrektorem. W niecałe trzy lata kierowałem już oddziałem z biurem maklerskim i 150 pracownikami. W 1995 r. PBR został kupiony przez Bank Rozwoju Eks-

Jeśli pan lubi uczyć, to dlaczego porzucił pan wykłady na politechnice?

- Dzięki pracy wykładowcy mogłem wspinać się przez 20 lat. Dalo się to gościć. Można było zablokować pensum w jeden semestr, by w drugim mieć wolne i robić, co się lubi. Wynagrodzenie na uczelni było tak niskie, że strata trzech pensji nie była bolesna. Był taki czas, kiedy jako wykładowca zarabiałem równowartość 8 dolarów miesięcznie. A z wyprawy można było przynieść 30 dolarów.

W 1989 r. wziąłem urlop bezpłatny z politechniki i wyjechałem na dwa lata do Syrii jako geodeta. Budowaliśmy tunele, ja pilnowałem, by drążone z dwóch stron góry dziury na pewno się spotkały. Po roku uczelnia się zbuntowała i kazali mi wracać albo zrezygnować, bo nie mogą dłużej trzymać dla mnie etatu. Zostałem w Syrii, bo zarabiałem sporo. portu i zostałem wiceprezesem domu inwestycyjnego BRE.

Oszalałająca kariera. Urodził się pan bankowcem?

- Wiele osób robiło wtedy szybkie kariery, takie to były lata. Świat bankowy mnie wciągnął i zafascynował. Cały czas się szkoliłem, w kraju i za granicą.

Po BRE przeszedłem do Banku Współpracy Europejskiej stworzonego przez Aleksandra Gudzwatego. Byłem wiceprezesem przez półtora kadencji. **Oferta finansowa Gudzwatego była nie do odrzucenia?**

Staram się wchodzić na Kilimandżaro najwyżej dwa razy w roku, a nie dziesięć, by to nie spowszedniało

- Nie tylko o to chodziło. To było dla mnie nowe wyzwanie, a ja wyzwania lubię. To miał być mały bank typu szwajcarskiego. Szefem został Jacek Krawiec, obecny prezes PKN Orlen. Chcieliśmy ten bank sprywatyzować, czyli dopuścić innych akcjonariuszy zagranicznych, bo nazwisko Gudzwatego do pewnego momentu pomagało, ale od pewnego było barierą rozwoju dla banku. Teraz już mogę o tym mówić.

Wydało nam się, że znaleźliśmy idealną propozycję, wręcz królewską. Pewien bank skandynawski zaproponował podniesienie kapitału BWE tak, by miał 49 proc., a Gudzwaty kontrolny pakiet 51 proc. akcji. Mieli przenieść do BWE finanse wszystkich wielkich firm skandynawskich jak Ikea, Nokia czy Skania. Współpraca miała trwać trzy lata. Po tym czasie Gudzwaty miał do wyboru - zgodzić się na oddanie kontroli nad BWE albo oddać Skandynawom

pieniądze, które przyniesi, i wrócić do punktu wyjścia.

Nie zgodził się. Moim zdaniem powinien do dziś żałować, bo jego bank się nie rozwinął.

Odeszliśmy razem z Krawcem. **To był szczyt pana bankowej kariery?**

- Jeszcze kilka lat pracowałem w bankowości. W Kredyt Banku byłem dyrektorem zarządzającym bankowości inwestycyjną. Potem przeszedłem do pracy u jednego z klientów banku, do firmy Ergis, lidera w produkcji PCV, należącego do V Narodowego Funduszu Inwestycyjnego. Zostałem dyrektorem finansowym.

Bogusław Cupiał, właściciel Telefoniki Kraków, złożył mi propozycję, by zostać wiceprezesem i dyrektorem finansowym jego firmy. Miałem zmienić sposób finansowania jej działalności. Chciałem wyemitować euroobligacje warte pół miliarda dolarów i tak zdobyć pieniądze dla Telefoniki. Dolarzy kosztowały 3,5 do 3,9 zł. Dziś są o 30 proc. tańsze - można było na tym skorzystać, wykup obligacji też były tańsze. **Tego nie można było przewidzieć.**

- Dokładnie nie, ale wszyscy wiedzieliśmy, że złoty będzie się umacniał. Z emisji obligacji nie nie wyszło, bo Cupiał zatrzymał projekt. Wtedy odszedłem. Rozstaliśmy się w przyjaźni, choć to bardzo trudny człowiek do współpracy. Dostałem na pożegnanie piękny stuletni pejzaż Krakowa. Mam tę satysfakcję, że byłem jedynym członkiem zarządu Telefoniki, który sam odszedł, pozostali pan Cupiał powyrzucił.

Potem już nie chciałem pracować w korporacjach. Uznałem, że mam z czego żyć i warto robić to, co lubię.

Znam bardzo dużo osób, a jeszcze więcej osób zna mnie. Ciągłe ktoś z kolegów pytał, gdzie się wybieram, a może byśmy razem gdzieś pojechali. Pewnego dnia powiedziałem dobrze, jedźmy. Zacząłem organizować wyjazdy w góry. **Pracując jako finansista, chodził pan po górach?**

- Chodziłem, ale nie były to długie wyjazdy jak w czasach politechniki, na trzy-cztery miesiące, tylko w ramach urlopu. Czasy się zmieniły, przestrzeń się jakby skurczyła, wyprawy były szybsze. Wszędzie latało się samolotami, co oszczędzało czas, kupowało się żywność na miejscu, a nie wozilo ze sobą.

Jeszcze przed pracą w PBR zacząłem kompletować szczyty Korony Ziemi. Brakowało mi kilku, m.in. najwyższego szczytu Antarktydy Mont Vincent, który wydawał się poza zasięgiem, bo wyjazd tam kosztował 25 tys. dol. i nagle pod koniec pracy w PBR dostałem roczną premię - 25 tys. dol.

W 1998 r. w ramach Korony Ziemi wszedłem z Markiem Kamińskim na Kilimandżaro, najwyższy szczyt Afryki. To nie jest trudna góra, więc po dwóch latach poszedłem tam z grupą znajomych, ale chętnych było mnóstwo. Po-

myślałem, że to może być pomysł na życie, jakie lubię.

Czy można mieć przyjemność z wejścia na Kilimandżaro po raz piętnasty?

- Absolutnie tak, jeśli potrafi się żyć emocjami ludzi, których się wprowadza na górę. A ja potrafię. Ale staram się wchodzić na Kilimandżaro najwyżej dwa razy w roku, a nie dziesięć, by to nie spowszedniało.

Drogi są takie wyprawy?

- Wyjazd na dwa-trzy tygodnie, z najlepszym połączeniem samolotowym, z przemieszczaniem się w terenie dobrymi terenowymi samochodami albo także samolotami, jeśli są duże odległości, z noclegami i wyżywieniem, kosztuje 12-15 tys. zł. Jeśli szukamy tańszych połączeń i wyjazd jest krótszy, to ceny też są niższe.

Z kim pan jeździ?

- Moją grupą docelową są klienci, którzy pracują bardzo intensywnie, pytają, gdzie jedziemy, a nie za ile. I stawiają warunek, że wyprawa może trwać dwa tygodnie do 18 dni, bo więcej czasu nie mają. W 80 proc. to są osoby, które już ze mną gdzieś były. Rekordzisci byli ze mną na sześciu-siedmiu wyjazdach. Zwykle w grudniu telefonują z pytaniem, co nowego w tym roku proponuje.

I co pan proponuje?

- Mnie nie interesują objazdywki typu: jeśli dziś wtorek, to jesteśmy w Belgii. Nie zamierzam przejechać w dwa tygodnie autokarem przez sześć krajów. Nie interesują mnie wyjazdy wypoczynkowe typu plaża. Zawsze musi coś być - jak nie ma chodzenia po górach, to jest np. rafting. Na przykład wyjazd do Peru. Może być z wejściem na szczyt Chahania na 6075 m, który nie jest trudny, podobny stopień trudności co Kilimandżaro. Ale może też być Szlak Inków na Machu Picchu. Albo trzydniowy rafting kanionem na głębokości 1500 metrów. Płynie się 40 km, nocuje na brzegu kanionu lub na wysepkach. W Islandii byłem dziewięć razy, ale nie robię tego na zasadzie objazdu wyspy, co robi 99 proc. firm, tylko pokazuje interior, środek Islandii, coś zupełnie innego. Jeździmy po bezdrożach terenowymi samochodami, które sami prowadzimy.

W tym roku chcę pojechać do Ugandy w Góry Księżycowe. Byłem tam raz i to był najpiękniejszy trekking. Tam jest szczyt Margarita blisko równika, wysokość 5107 metrów, ze szczytkowym lodowcem. Nie jest trudny, ale samo dojście do niego jest fascynujące. Można do tego dołączyć safari i całonocny rafting po Nilu Błękitnym, dosyć trudny.

A grupy wspinaczkowe?

- Nie, nie chcę uczyć wspinaczki, od tego są kluby alpinistyczne. Mnie interesują ludzie i ich emocje. Interesuje mnie motywowanie, wchodzących na szczyt. Najciekawsze jest to, co się rozgrywa między ludźmi, jak zanikają relacje prezes - dyrektor, a pojawiają się relacje Jacek - Janusz. Indywidualnie mają mniejsze szanse wejść na szczyt niż w grupie, nakręcając się wzajemnie. Wiele ludzi po takiej wyprawie zmienia podejście do życia. Widzą, że w górach jedzą trzy razy mniej niż w mieście, a potrafią podolać ogromnemu wy-

silkowi i dobrze się czują. Takie wejście zmienia ludzi, dają pewność siebie i dystans. Lepiej poznają siebie i znajomych, z którymi znają się całe lata.

Sporo biur robi coś podobnego.

- Wbrew pozorom robią coś innego. Ja daję swoją wiedzę o górach. Grupa ma 10-12 osób, bo wtedy mogę z każdym rozmawiać, dotrzeć do każdego, posłuchać, jak oddycha, jak chodzi, z każdym mogę przejść wspólny odcinek trasy danego dnia, dawać proste uwagi, np. jak należy stawiać nogi.

Ile zamierza pan chodzić po górach?

- Do 100 lat będę chodził po górach, a potem będzie mi wszystko jedno.

W moich grupach są przeważnie ludzie 30-40-letni. Jeszcze mi się nie zdarzyło spotkać kogoś lepszego kondycyjnie. ●

*** Leszek Cichy, 58 lat**

Pierwszy Polak, który zdobył Koronę Ziemi, czyli najwyższe szczyty wszystkich kontynentów. 17 lutego 1989 r. wraz z Krzysztofem Wielickim jako pierwsi zdobyli zimną Mount Everest.

Rodzina: żonaty, ma dwóch synów i dwóch wnuków.

Mieszka we własnym domu w Strzeszynie pod Warszawą.

Jeździ toyotą auris. Nie interesuje się samochodami, markę rozpoznaje po znaczku.

Hobby: astronomia i najnowsze odkrycia naukowe.

Dlaczego góry? Mama pracowała na kolei, więc mieliśmy darmowe przejazdy. Rok przed maturą wybraliśmy się z o dwa lata młodszym bratem w góry. Nie o nich nie wiedzieliśmy. Zaplanowaliśmy wyjazd w Gorce i wejście na najwyższy szczyt pasma Turbacz. Dojechaliśmy do Nowe-



go Targu, patrzymy: gdzie te góry? Takie małe? Wsiadliśmy do pociągu i pojechaliśmy do Zakopanego. Wszedłem na Kopieniec Wielki - 1311 metrów. Nie wielkiego, ale stamtąd zobaczyłem góry. Wróciłem do Warszawy chory, wiedziałem, że będę się wspiąć.

Po maturze zdałem na politechnikę na geodezję i od razu zapisałem się do klubu alpinistów. Tego samego roku w grudniu byłem na obozie klubowym w Tatrach i wspiąłem się na Mniacha, używając sprzętu wspinaczkowego. Brat potem był jeszcze tylko raz w górach. Nawet na nartach nie jeździ.

Gdyby nie góry... Pewnie byłbym kapitanem żeglugi wielkiej. Po maturze zdawałem do Szkoły Morskiej i egzamin poszedł mi świetnie. Ale lekarze odkryli, że mam jedno oko słabsze, i to mnie dyskwalifikowało. Zdałem więc trochę przypadkowo na geodezję, ale nie żałuję. Do tego na geodezji poznałem Majkę, moją żonę. Braliśmy ślub cywilny dzień przed obroną mojej pracy magisterskiej, a kościelny - dzień po obronie. Z tych marzeń o szkole morskiej został mi tylko coroczny zwyczaj wypadu na żagle, na kilka dni w okolicach Bożego Ciała. ●

„Ciągłe chcemy pisać historię” rozmowa Jarosława Adamskiego z Krzysztofem Wielickim - przedruk „Kuriera Miejskiego” z marca 2010

Skąd się w górach wziął Krzysztof Wielicki?

W pewnym sensie do alpinizmu trafiłem przypadkowo, ale o tyle nieprzypadkowo, że gdybym wcześniej nie przeszedł całego harcerstwa, wyjazdów w góry to pewnie bym się tym nie zajął. Więc te pierwsze lata na pewno miały wpływ na to, co było potem. Zacząłem studiować, jednocześnie zajmowałem się turystyką. Do wspinania nie trafia się w taki sposób, że człowiek idzie sobie ulicą i mówi: „och będę się wspiąć”. Tak nie jest. Dobrze, żeby było coś z przodu, albo z tyłu, jak ja to mówię. Człowiek musi pokochać góry. A sam fakt, że zająłem się wspinaniem rzeczywiście wziął się z tego, że pewnego dnia zobaczyłem ludzi wspinających się w skałkach. Pojechaliśmy w rejon skalny pod Jelenią Górą, i jak się już przykleiłem do skały, to wiedziałem, że będę to robić. Już wtedy wiedziałem, że każdą wolną chwilę spędzę w górach.

Góry to pasja, czy może już filozofia?

Pasja. Góry są taką ścieżką. Może też sytuacja lat 70., 80. w realizowaniu swoich pasji było dużo mniej możliwości. Wszyscy ci, którzy wykazywali jakąś aktywność, mieli jakąś duszę wojownika, to uciekali od sytuacji, gdzie w zasadzie nie mogli się zrealizować. Każdy miał tę meblościankę, telewizor czarno-biały, pralkę, Franię, niektórzy mieli nawet małucha. Wszyscy to samo. Dla ludzi, którzy chcieli się jakoś wybić, realizować, to było nie do wytrzymania. Szukali czegoś. Dla jednych morze, dla innych góry. Pasja powodowała, że całe życie skupiało się w klubach wysokogórskich. Klub był dla nas swoistą oazą, i kiedy zostawialiśmy swoje zawody, dotychczasową pracę, ja też tak zrobiłem, to klub się stał naszym domem. Codziennie rano wychodziłem z domu, żona mnie pytała: dokąd idziesz? A ja odpowiadałem, że idę do klubu. To była nasza praca. Ale nie tylko. Były mapy, książki i marzenia.

Pan podkreśla często, że góry, to przede wszystkim ludzie.

To prawda, bo też ludzie stanowią podstawę. Jedno to góry, piękno, mistyka. Drugie to właśnie ludzie. Dla mnie bardzo ważnym elementem jest człowiek. Takie medium, taki grunt, który raz narażony na pewne sytuacje pokazuje całego siebie. Bo też są sytuacje, gdzie nasz partner w górach jest tym, od którego wymaga się niezwykle wiele. To nie jest kolega z pracy, przyjaciel. To coś więcej. Tam, gdzie trudno, gdzie niebezpiecznie, ta pewność, zaufanie, te elementy odgrywające największą rolę.

Człowiek w górach się zmienia?

Dziś to różnie bywa. Bazowaliśmy na człowieku już wcześniej poznany.

To dziś jest jeszcze pasja, czy wyścig?

Nie, pasja. Odróżniłbym pewne sprawy. U nas owszem rywalizacja jest, ale nie ma killerstwa. Oni zrobili to, czy tamto, my też coś nowego wymyślimy, taka rywalizacja rzecz jasna jest obecna. Ale już podczas zdobywania szczytu jest pełna współpraca. W pracy tej tu te relacje między dwójkiem ludzi nie są aż tak istotne, jak w górach. Alpinizm to prócz wspinania także podróżowanie. To jest ten element kształcą, wzbogacają człowieka. Polegający na tym, że podróż kształca, wzbogacają człowieka. Nabiera się dystansu, np. do biedy, afrykańskiej, azjatyckiej, polskiej. To pierwsza sprawa. Druga – przez poznanie ludzi stajemy się bardziej tolerancyjni. Za komuny to było to wyobrażenie, nie wiedzieliśmy, że można inaczej żyć. Tak ma być a nie inaczej, a okazuje się, że zaczynamy spotykać innych ludzi, i wcale nie musi być tak jak sobie wymyśliśmy. Masę miałem takich przykładów. Socjologicznych wręcz. Człowiek się uczy tolerancji, dystansu. Interreligijność powinna moim zda-

niem polegać nie na mówieniu: ta religia jest gorsza od tamtej, ale na pokazywaniu, że można tak lub inaczej mówić, robić. Nie bomby, nie wojny krzyżowe, bo to nam się nie udało.

Nie bardzo.

Nie bardzo, zamiast tego zrzucać im pralki, kredki, pokazywać, że można inaczej, dawać możliwość, ale nie zmuszać. Trzeba więcej rozmawiać.

Może zostawić w świętym spokoju.

A może tak, po prostu trzeba rozmawiać. Sam Koran nie niesie złego przekazu. Człowiek poznaje takich Buddystów na przykład. To religia pokoju. Tam można wszystko. Azja uczy też spokoju. Autobus dzisiaj może pojedzie, a może jutro. Jak się tak zastanowić to wcale nie jest to takie złe.

Pan się sam spotkał z takimi sytuacjami, że coś w Panu samym jest zupełnie innego, zaskakującego?

Tak, jakby mi kiedyś ktoś powiedział, że ta kartka papieru jest zielona, to byśmy się pobili. A teraz człowiek sobie myśli: ach no zielona, i cóż z tego?

Człowiek z górach może sam siebie zaskakiwać?

W pewnym sensie tak, ale z czasem coraz mniej. To tak jak z pięknym krajobrazem. Jak jesteśmy pierwszy raz w wysokich górach, no to jest niesamowicie. Z czasem oczywiście w podświadomości to jest niesamowite. Ale widoki? To na widokówkach. To jest ważne ale już się tego tak nie dostrzega. Z czasem zaczyna się myśleć o czymś innym. Człowiek musi cały czas budować. Odnosić sukcesy.

Ale czuje Pan, że z czasem się Pan zmienia?

To mi daje taką pewność siebie. Dziś człowiek musi mieć małą tę pewność siebie, więcej ma obaw, że czegoś nie zrealizuje.

Więcej mówimy, niż robimy.

Tak, nauczyłem się więcej słuchać, niż mówić. To druga nauka, która u młodych tak nie wygląda.

Może 20 lat temu było trudniej coś zdobyć, może to bardziej hartowało?

Z kolei łatwiej było osiągać cele. Poprzeczka nie była tak wysoko zawieszona. Dziś młodzi ludzie mają łatwiejszy dostęp do wszystkiego, ale poprzeczka jest znacznie wyżej.

Wejście w noc sylwestrową w kołnierzu ortopedycznym na Lhotse, „wbicie” niemal na Broad Peak, nie igra Pan z losem?

No czasem tak. Ale jednak odróżniłbym ryzykanctwo od ryzyka. To drugie jest kalkulowane w alpinizmie. Bez ryzyka nie istniałoby wspinanie się. Ryzykanctwa trzeba unikać. To oznacza brak przygotowania. Proszę zauważyć, że ja wspinalem się kilkanaście lat. Na Broad Peak mało ryzykowałem. Do pewnych decyzji trzeba dojrzeć. Trzeba znać swój organizm, doświadczać go. I wtedy wie się, że można sobie poradzić. Ale miałem taki okres, gdy wspinalem się samotnie. Tam się staje samotnie przed ścianą, bez liny, bez partnera. Z dwoma przyrzadami. My to nazywamy wspinaniem „na żywca”. To wielu ludzi robi, ale jak mówię, do tego trzeba dojrzeć. Ci w Yosemite, którzy wspinają się na niemal pionowych ścianach, to najpierw robią tę drogę 40 razy z linami, aż przychodzi taki dzień, kiedy mówią sobie: ok, dzisiaj.

Panie Krzysztofie, a co tak naprawdę w późnych, latach 70., i później napędzało Polaków w góry? Wejścia zimowe to było ekstreum.

Myślę, że... patriotyzm. To dziś niemożliwe, brzydkie słowo. Nas polityka nie interesowała, ale mieliśmy świadomość, że wcześniej koledzy zza zachodniej granicy mieli wielkie sukcesy. W nas to pobudziło chęć dołączenia do światowej sceny. A ponieważ w połowie lat 80. zmieniła się ustawa o uprawianiu sportu, zaliczono nas do dyscyplin sportowych, to było łatwiej pewne rzeczy zrobić. Wykorzystaliśmy to.

A jak radziliście sobie z popularnością? Pamiętam telewizyjny program, dotyczące Jerzego Kukuczki, Wandy Rutkiewicz, było o polskich alpinistach głośno.

Wcześniej media się interesowały nami tylko wtedy, gdy ktoś się zabił. Potem nastąpiła personifikacja sukcesu. Pojawiała się moda na góry.

Był też element rywalizacji pomiędzy Messnerem a Kukuczką.

To na zachodzie wymyślono. Zorientowano się, że jest kilku ludzi, którzy są blisko zdobycia Korony Himalajów. Ani Messner ani Jurek nie myśleli o tym. Ale kiedy temat się pojawił, to naprawdę zaczęli się ścigać. Pomagaliśmy Jurkowi jako środowisko, by gonić Messnera. Dowodem na to, że to był taki sztuczny wytwór wyobraźni jest fakt, że kiedy w 1986 koronę zdobył Messner, a rok potem Jurek to przez następnych 10 lat wszyscy zapomnieli o koronie. Nikogo to nie interesowało. Loretań, który mógł to zrobić w 1987, zrobił to w 1993. Umarła konkurencja. Celem alpinisty nie jest zdobywanie Korony Himalajów. Ale jak człowiek się wspina wiele lat, to siłą rzeczy zdobywa się kolejne szczyty. Sam na niektórych szczytach byłem po kilka razy, a więc nie to jest najważniejsze, by zdobyć wszystkie szczyty Himalajów. Dopiero jak mi się ich trochę uzbierało, to dziennikarze mnie prowokowali, kiedy w końcu ta Korona wpadnie w moje ręce. No i w 14 miesięcy zdobyłem 4 ostatnie brakujące szczyty.

I teraz spokój.

Spokój. Jedynie mnie teraz pytają, co Ci ta Korona dała? Ja mówię, nic mi nie dała.

Pan mówi, że serce zostawił w Kathmandu?

To wynika także z tego, że świat uznał to miejsce za magiczne. Ważni są ludzie, a tam siedzi cały świat. Jedni przyjeżdżają, inni wracają. Górską stolicą świata. Są też i inne. Ale ta sympatia Nepalczyków do tego ruchu, powoduje, że tam się żyje w uśmiechniętym kraju. Mówią, że to kraj uśmiechniętych ludzi i helikopterów. Tam się czuję dobrze. My Polacy mieliśmy kompleksy i tym łatwiej nam się było ich pozbyć w takim miejscu.

Tam dodatkowo nie ma takiego ostracyzmu, ortodoksji w codziennym życiu. Religia istnieje, ale nie ma kościołów.

A jak to jest w górach? Zdarzają się takie sytuacje na granicy życia i śmierci? Był Pan blisko zamrożenia.

Lato, poziom 8300 metrów n.p.m. zejście z K2, wspólnie z dwoma Włochami. Noc, minus 35 stopni, nie mieliśmy sprzętu biwakowego, nie zdołaliśmy zejść do namiotów. Schodziliśmy, było stromo, lód, postanowiliśmy samoczynnie, że nie idziemy dalej. Każdy z nas był od tego drugiego o ok. 30 metrów. Tylko kombinujemy. Każdy zrobił sobie półteczkę, przypiął się, siedzieliśmy, brak ruchu. I ta świadomość, że nie można zasnąć, a jednocześnie zmęczenie. Ja przysypiałem, ale starałem się tam śpiewać, żeby znaleźć sposób na przetrwanie.

Zdarzają się sytuacje, że mówi Pan sobie dość? Koniec z tym.

Nie, nie zdarzyły mi się, może poza jedną. Te śmierci pojawiają się w banalnych sytuacjach. Jak jest bardzo trudno, to jesteśmy znakomicie skoncentrowani. Potem bywa już inaczej. Czasem miałem taką złość, nie dlatego, że strach. Tylko dlatego, że jesteśmy przyzwyczajeni, że wszystko jest w naszych rękach. Są takie sytuacje, że nie mamy wpływu na coś.

Spotykał Pan w górach niszczących już himalaistów?

Raz widziałem nieżyjącą Niemkę, nie wiedziałem że ona tam jest. Była wtopiona w lód, jeszcze z jesieni. Dopiero potem poznałem jej historię. Schodziłem sam. Dało mi to dużo do myślenia.

Pamiętam historię Wandy Rutkiewicz, kiedy po jej zaginięciu mówiono o organizacji wyprawy, mającej ją odnaleźć.

To nie miało sensu. Raczej, przy okazji innych wypraw, jak to się robi, trzeba baczej przyglądać się miejscu, w którym Wanda zaginęła. Ale specjalna wyprawa, to raz małe szanse, a dwa ryzyko, niebezpieczeństwo. Robi się tak, jak z Andrzejem Czokiem, który po prostu zmarł na wyprawie na Kanczen-dzongę, trzeba pochować kolegę. W tamtym przypadku

w szczelinie, na wysokości 7300 metrów.

Takie tragedie się zdarzają, ktoś musi bliskim przekazać informację o tym, że doszło do tragedii.

Fizycznie tylko raz musiałem... o tak, musiałem pójść, do żony Jurka - Celiny. Wolałbym zostać, tam w tej ścianie. Oczywiście nic nie trzeba mówić, wystarczy spojrzeć, wszystko wiadomo. To samo było, kiedy Wanda zaginęła, nasz sekretarz generalny Hania Wiktorowska poszła z Zawadą do mamy Wandy. I Hania do dziś mówi, że chciała poinformować, że Wanda zaginęła, oni ani słowa nie powiedzieli. Weszli, a mama Wandy powiedziała: wszystko wiem, tak ona żyje w klasztorze...

Siedzieli tam kwadrans, ani razu nie padło słowo, że Wanda nie żyje. To są trudne chwile z pewnością. Czasem wiadomość o śmierci jest niezwykle trudna. Moi dwaj partnerzy zginęli na wyprawach, co prawda nie ze mną, ale ta przyjaźń, wspinanie, strasznie łączy ludzi.

Alte też nie powoduje takich myśli, że trzeba z tym skończyć?

Nie, wydaje mi się, że bliscy tych, którzy odeszli też by tego nie chcieli. Wręcz przeciwnie. To ciężkie, bo przecież dotyczy pogodzenia się z czymś odejściem.

Żeby zostać wybitnym alpinistą, chyba trzeba się nauczyć podejmować te najtrudniejsze decyzje, tam bardzo wysoko.

Tu decyduje doświadczenie. Naturalnie się krystalizuje taka hierarchia. Niepisana.

Nie ustała się przed wyprawą, kto wejdzie na szczyt?

Środowisko jest, jakby to powiedzieć, trudne. Pod koniec wyprawy, przy atakach szczytowych każdy może wejść. Niektórzy mówią: dziękuję. To jest dobre.

Lepiej, kiedy ktoś rezygnuje, gorzej, gdy partnerstwo jest nie do końca dobre. Najgorzej, gdy partner ukrywa słabość. Gdy wspina się dwoje ludzi o różnych możliwościach. W sytuacjach bardzo trudnych może dojść do tragedii. Były takie wypadki. Różnie były oceniane. Mogą być słabsi, ale równi. Wcześniej zrezygnują, ale razem. Poza tym ze-

społy się łączą, i potem się nie rozłączają. Ludzi frapuje to, że kierownik wyprawy decyduje. Może się zdarzyć wyjątkowa sytuacja, ale generalnie idą ci, którzy wejść mogą.

Jakie myśli towarzyszą człowiekowi, który wchodzi na szczyt samotnie?

Trzeba odsunąć wszystko od siebie. Od dzieci, domów, jabłka, herbaty, i tylko kolejne metry. Cholerna walka wewnętrzna. Wydłużona w czasie, bo to przecież trwa kilkanaście godzin.

Zostawia Pan coś w górach?

Dzieci jak mi coś przypną, to zostawiam. Nosimy korale, sznureczki, tybetańskie kamienie. Tym się wyróżniamy. Ale nie jestem przesadny. Jurek zabawki zostawiał na szczycie. Ja czasem linki, sznurki, elementy wspinaczkowe.

A ludzie wierzą, tak na słowo, że ktoś był na tym szczycie?

W himalaizmie jednak były tak duże wymagania moralne, że w zasadzie nie ma takiej procedury, żeby ktoś musiał udowadniać, że był na szczycie. Mistyfikacja wiąże się z kompletną alienacją w środowisku. Ta kara swego czasu dotknęła jednego alpinisty, i była tak dokuczliwa, że musiał zniknąć z naszego środowiska, z gór.

Nigdy nie miałem takiej potrzeby, nikt nie zapytał. Raz na Nanga Parbat na szczycie byłem kompletnie sam. Dosłownie. Ani bazy, ani kolegów, góra po sezonie. Byli tylko pasterze dużo niżej. Na szczycie dopiero o tym pomyślałem. Zdobyłem Koronę Himalajów, piąty na świecie, i chyba coś muszę zrobić. Pogoda była świetna. Dwa filmy zrobiłem, plecak ułożony, zebrałem też kamienie ze szczytu. Ale to jeszcze nie było to. W końcu zauważyłem taką żółtą szmatkę, która jak się okazało była przywiązana do haka. Wyciągam ten hak, a on jest wygrawerowany, mosiężny, High Mountain Graz 1976. Zjechałem na dół, przewodnik wypalił całą serię z Kalasznikowa w powietrze, i mi gratuluje.

Mówi: well done
ja na to: well done
on znów: well done
ja: well done
on w końcu: my możemy potwierdzić, że Ty byłeś na szczycie
ja: jak to? Mam zdjęcia, kamienie

on: nie, mamy tu lunetę
Ten hak z kolei pokazałem
na festiwalu zorganizowanym
przez Messnera, dla zdobyw-
ców Korony, pomyślałem opo-
wiem historię o haku. Kiedy
opowiadałem wstał Austriak,
który krzyknął – to mój hak!
Chustkę mu oddałem, haka nie.
Także nie musiałem nigdy nic
udowadniać, no i Bóg dał mi
ten hak.

**Panie Krzysztofie, Pan się
wspina jeszcze w Tatrach?**

Nie często, ale jestem. Himala-
izm jest działaniem długotrwa-
łym, w latach 70. czy 80. czę-
ściej. Teraz czas jest cenny, waż-
ny. Wtedy siedzieliśmy po 7
miesięcy w górach. Teraz jak
mamy 3 miesiące to dobrze.

**To co będzie Pan robić w naj-
bliższym czasie w górach?**

Latem niewiele, bo czas poświę-
cam na sprawy rodzinne. Jesie-
nią wracam do Nepalu. Małe
szczyty. Zimą – nie wiem czy
damy radę, ale zgłosiliśmy taki
program zimowej eksploracji
Karakorum, słusznie nas Pola-
ków nazywa się „lodowymi wo-
jownikami”. Trzeba tę kartę da-
lej zapisywać. Wszystkich już
nie zdobędziemy, bo dziewiąty
szczyt zdobyli nasi wychowan-
kowie Simone Moro i Denis
Urubko, ale już nie Polacy.
Wciąż jednak zostało nam 5
szczytów. Jest gradacja celów,
chcemy pisać historię.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: Jarosław Adamski



Krzysztof Wielicki na szczycie Gaszerbrum I w 1995 roku



- w drodze do bazy na Gaszerbrum w 1995 roku



Krzysztof Wielicki na szczycie Annapurny (8091 m n. p. m.)

Za zbiorów prywatnych Krzysztofa Wielickiego

„Śladem Kukuczki” przedruk z „Dziennika Zachodniego” z 22.03.2010

Filmem o słynnym himalaistcie interesują się stacje telewizyjne

Śladem Kukuczki

Michał Wroński

Trwa odliczanie przed śląską premierą dokumentu „Bieg Kukuczki”. Wspólne dzieło dziennikarki Aliny Markiewicz i himalaisty-filmowca Dariusza Załuskiego obejrzeć będzie można w środę wieczorem w katowickim kinie „Helios”. O dalszych losach filmu jego twórcy na razie nie chcą się jeszcze kategorięcznie wypowiadać, ale przyznają, iż produkcją zainteresowane są dwie stacje telewizyjne. Prawdopodobnie 50-minutowy dokument doczeka się też osobnego wydania w wersji DVD.

Postać Jerzego Kukuczki – pierwszego Polaka i drugiego człowieka na świecie, który zdobył wszystkie czternaście ośmiotysięczników (tzw. Koronę Himalajów) – wróciła na czołówki gazet w październiku ubiegłego roku. Wtedy to miała 20. rocznica jego tragicznej śmierci podczas wspinaczki na Lhotse. Z tej też okazji pod owianą złą sławą południową ścianę tej góry wyruszyła niecodzienna wyprawa – tworzył ją prof. Zbigniew Waśkiewicz, rektor noszącej imię słynnego himalaisty Akademii Wychowania Fizycznego w Katowicach, grupka studentów tej uczelni (m.in. przygotowująca się wówczas do Igrzysk Olimpijskich w Vancouver biegaczka narciarska Sylwia Jaśkowiec) oraz twórca dokumentu. Na miejscu spotkali się z żoną Kukuczki – Celiną oraz jego synem, Wojciechem. Dla filmowców była to okazja, by spojrzeć na Króla Gór nie przez pryzmat jego wejść czy pokonanych ścian, lecz oczyma jego bliskich,



Na filmie nie zabraknie ujęć spod Lhotse, także tych z 2009 r.

a także osób, dla których stanowi już tylko (a może aż) część historii.

– To było jedno z bardziej fascynujących doświadczeń związanych z tym filmem. Patrząc, jak w miejscach, które kiedyś wędrował Kukuczka, jego ślady odnajdują dziś ci młodzi ludzie. Ogromne wrażenie zrobiły na nas treningi Sylwii Jaśkowiec. Niezależnie od wysokości, na której aktualnie się znajdowaliśmy, ona jakby nigdy nie biegła codziennie po trzy godziny – opowiada Alina Markiewicz. Jak podkreśla, film o najsłynniejszym z polskich wspinaczy chciała zrobić od dziecka, gdy

jako dwunastolatka przeprowadziła z nim wywiad dla szkolnej gazetki. Teraz wreszcie nadarzyła się okazja.

– Od samego początku wiedziałam, że najbardziej odpowiedzialną osobą do współpracy przy takim dokumencie będzie Darek Załuski. To jest człowiek, który świetnie zna temat himalaizmu (zdobył cztery ośmiotysięczniki, a także Kilimandżaro, McKinley i Aconcagua – przyp. red.), a do tego gwarantował znakomity warsztat filmowca. Oczywiście było też dla mnie to, że premiera filmu powinna się odbyć w tym regionie. Stąd przecież wywodził się Kukuczka

i zawsze podkreślał swoją więź z tym regionem – mówi Alina Markiewicz.

Prócz świeżych obrazów z Nepalu w filmie znalazły się archiwalne kadry z zasobów Telewizji Polskiej. W filmie wypowiadają się wieloletni partnerzy Kukuczki „od liny” – Wojciech Kurtyka oraz mieszkający w Mikołowie Artur Hajzer, a także inni uznani polscy himalaiści – tyszanin Krzysztof Wielicki (drugi polski zdobywca Korony Himalajów) i Ryszard Pawłowski z Katowic.

Choć od strony faktograficznej film nie odkrywa żadnych sensacji, to zainteresowanie nim wśród miłośników gór jest ogromne. Wolnych miejsc na środową premierę w „Heliosie” praktycznie już nie ma. Raczej nie ma co liczyć, iż w najbliższym czasie dokument będzie można zobaczyć w innych kinach. Twórcy obrazu przyznają natomiast, iż prowadzą rozmowy z dwoma stacjami telewizyjnymi (w tym jedną zagraniczną), które są wstępnie zainteresowane kupnem tej produkcji.

Jerzy Kukuczka urodził się w 1948 roku w Katowicach. W barwach tutejszego Klubu Wysokogórskiego rozpoczynał też swą karierę himalaisty (wcześniej trenował podnoszenie ciężarów w HKS Szopienice). W sumie między rokiem 1979 a 1987 aż 17 razy zdobywał ośmiotysięczniki, przy czym na dziesięciu z nich wytyczył nowe drogi wspinaczkowe, cztery jako pierwszy człowiek na świecie zdobył zimą, na jeden wszedł samotnie. Często wspiął się bez tleniu.

„Pokaz niezwykłego filmu” przedruk z „Gazety Wyborczej” z 24.03.2010

ZAPROSZENIE

Pokaz niezwykłego filmu

•• Z inicjatywy rektora katowickiej AWF zrodził się w zeszłym roku pomysł uczczenia dwudziestej rocznicy śmierci Jerzego Kukuczki, patrona uczelni. Nagrodą w organizowanym po raz drugi Biegu Kukuczki był wyjazd dwóch studentów w Himalaje pod południową ścianę Lhotse, miejsce śmierci Kukuczki.

W wyprawie wzięli także udział Alina Markiewicz i Dariusz Załuski, którzy z okazji rocznicy śmierci wybitnego himalaisty kręcili tam film. Pod południową ścianą Lhotse ekipa spotkała się z żoną himalaisty i jego młodszym synem. Była okazja do wspomnień, modlitwy i niezwykłych opowieści. Wojtek Kukuczka mówił m.in. o poznawaniu taty, którego nie pamięta, bo ten zginął, gdy Wojtek miał pięć lat. Film Markiewicz i Załuskiego jest jednak przede wszystkim



Jerzy Kukuczka

kim próbą pokazania cech charakteru, którym człowiek musi być obdarzony, by osiągał w życiu sukces.

AWF zaprasza dziś (data urodzin Jerzego Kukuczki) na premierowy pokaz filmu „Bieg Kukuczki” do katowickiego kina Hefios w Altusie. Początek o godz. 20 w sali nr 6. Pierwsze cztery osoby na hasło „Gazeta Wyborcza” otrzymają w kasie bezpłatne wejściówki. © 105

„Pustelnik wyrusza na Annapurnę”- przedruk z „Dziennika Zachodniego” z 11.03.2010

Pustelnik wyrusza na Annapurnę

Piotr Pustelnik rozpoczyna dziś czwartą próbę zdobycia Annapurny – 10. co do wysokości szczytu ziemi. To jednocześnie próba zdobycia Korony Himalajów. Pustelnik wszedł na 13 z 14 szczytów Korony. Do tej pory zanotowano niewiele ponad sto wejść na Annapurnę, 50 himalaistów straciło tam życie. Szczyt zdobyło 18 alpinistów, wśród nich dwóch Polaków: Krzysztof Wielicki i Jerzy Kukuczka. JB



Piotr Pustelnik trzykrotnie wyruszał na Annapurnę

Mistrz i Kinga

HIMALAIZM | Dziś Kinga Baranowska
i Piotr Pustelnik wyruszają
na Annapurnę. „Rzeczpospolita”
jest patronem medialnym wyprawy

MONIKA ROGOZIŃSKA

Na górze o fatalnej reputacji rozegra się ryzykowna walka. Stawka jest duża: pierwsza kobieta Korony Himalajów oraz kolejna męska, po raz trzeci dla Polaka.

Nepalczy Annapurnie (8091 m) oddają cześć boską, wspinać się jej boją. Masy okrywającego ją śniegu są dla tubylców życiodajnym rezerwuarem wody, himalaistów zabijają. Annapurna jest pierwszym szczytem ośmiotysięcznym, na którym stanął człowiek, od razu placąc górze haracz.

Wiosną 1950 r. szczyt zdobyli Francuzi – przewodnik alpejski Louis Lachenal, za cenę amputowanych podczas odwrotu odmrożonych palców stóp, i Maurice Herzog, któremu Annapurna zabrała palce rąk, ale dała sławę i prestiż, a potem stanowisko ministra sportu Francji.

Od tamtej pory na szczycie stanęło niewiele ponad 100 osób, mniej niż ostatnio bywa w sezonie na wierzchołku Mount Everestu. Jedyną Polką na szczycie Annapurny była Wanda Rutkiewicz. Wysiłek, jaki w to włożyła, wymazał z jej pamięci długie fragmenty wspinaczki.

Nagroda Fair Play

Kinga Baranowska, z wykształcenia geograf i ekonomistka, dla gór porzuciła wszystko. Weszła już na szczyty sześciu ośmiotysięczników; na Dhaulagiri, Manaslu i Kangczendzongę jako pierwsza Polka, na ten ostatni jako piąta kobieta. Tym wyczynem wdara się do czołówki kobiecego himalaizmu. Dedykowała go Wandzie Rutkiewicz, która zginęła na Kangczendzondze, kiedy Kinga miała 16 lat.

Piotrowi Pustelnikowi brakuje do Korony Himalajów (14 ośmiotysięczników Ziemi), tylko Annapurny. 18 lat zajęło mu wejście na 13 ośmiotysięczników. Doktor nauk technicznych, specjalista od ryzyka przemysłowego i bezpieczeństwa biznesowego, instruktor alpinizmu, z Annapurną zmagal się podczas czterech wypraw. W 2006 r. wraz z Piotrem Morawskim pokonał trudną grań wiodącą przez kilka wierzchołków masywu. Zawrócili, będąc

Annapurna jest
górami, która zabrała
wielu wybitnych
wspinaczy

blisko celu, żeby ratować życie tybetańskiemu wspinaczowi, bezradnemu z powodu śnieżnej ślepoty.

– Rezygnuję z Korony Himalajów – powiedział potem Pustelnik. – Na Annapurnie osiągnąłem szczyt cenniejszy. Nie muszę już na nią wracać.

Wrócił i znowu nie dotarł do szczytu. Polski Komitet Olimpijski dwukrotnie uhonorował go Nagrodą Fair Play za zachowanie w górach. – Chcę dokończyć program – mówi teraz.

Gdyby dokończył, byłby trzecim Polakiem, po Jerzym Kucuzce i Krzysztofie Wielickim z Koroną Himalajów (ma ją już 18 mężczyzn). Z Kingą Baranowską był raz na ekspedycji, na ośmiotysięczniku Broad Peak przed czterema laty.

– Piotr był wtedy jedynym polskim himalaistą, który wyciągnął do mnie rękę, do nikomu nieznaney blondynki – mó-

wi Kinga. – Był moim mistrzem. Pod względem wytrzymałości dziś mogę nie mieć kompleksów. Ale wciąż mogę się od niego wiele nauczyć. Ma ogromne doświadczenie i zna tę górę.

Przeszłość pokazała, że żadne doświadczenie ani znajomość tej góry nie chronią przed zagrożeniami.

Annapurna przoduje wśród ośmiotysięczników w okrutnej statystyce. Uchodząca za kruchą, lawiniastą, zdradliwą, zabierała najlepszych himalaistów.

Trampkarz

Hiszpański przewodnik wysokogórski i filmowiec Inaki Ochoa de Olza wszedł na 12 ośmiotysięczników bez tlenu z butli. Zmarł w namiocie na wys. 7400 m, po pięciu dniach



***Kinga Baranowska** (34 lata), pochodzi z Kaszub, w Tatry pierwszy raz poszła podczas studiów. Potem stała na sześciu ośmiotysięcznikach, na trzech jako pierwsza Polka.
Piotr Pustelnik (59 lat) do Korony Himalajów brakuje tylko Annapurny. Mierzył się z tą górą już na czterech wyprawach. Na jednej z nich zawrócił spod szczytu, by ratować życie innemu alpinście

zabierał ją pod kolejną górę z przygotowaną przez inny zespół trasą. W 2009 r. w ten sposób weszła na Kanczendzongę, Dhaulagiri, Nanga Parbat i Gasherbrum I. Internauci taki styl uprawiania himalaizmu nazwali „podróżą” Korony Himalajów.

Oh Eun-Sun uważa się za pierwszą kobietę, która wspięła się na cztery ośmiotysięczniki w ciągu roku bez pomocy tlenu z butli. Kłamstwo w ubiegłym roku zarzuciło jej wielu himalaistów, wśród nich także inna Koreańska, Go Mi-Sun.

- Czuję zażenowanie, kiedy dziennikarze pytają mnie o wiarygodność sukcesów Oh Eun-Sun - mówi Kinga Baranowska. - Byłam w bazie pod Kanczendzongą, kiedy weszła na szczyt. Ze względu na warunki, jakie wtedy panowały, obecni uznali, że nie mogła wspiąć się w tak krótkim czasie bez tlenu i zejść, pozostając w tak dobrej formie. Największą karą dla alpinisty jest utrata wiarygodności. Zaufanie i uczciwość jest podstawą działalności górskiej. Nie powinno się nawet o tym dyskutować.

Pytanie sprzed lat

Eduarne Pasaban do Korony brakuje (poza Annapurną) Shisha Pangmy w Tybecie, od której chciała zacząć obecny sezon. Ale Chińczycy zamknęli do końca marca granice Tybetu.

Pod Annapurnę także nielato się dostać. Uczestnicy wypraw - również Baranowska i Pustelnik - będą aklimatyzować się na niższych szczytach, a następnie helikopterami dotrą do bazy. Drogę przez dżunglę zniszczyła przyroda.

- Postaramy się z Piotrem tak przygotować na Pumori w sąsiedztwie Everestu, żeby jak najmniej chodzić po północnej ścianie Annapurny, pod którą powinniśmy wylądować ok. 10 kwietnia - mówi Kinga Baranowska.

Pumori (7161 m) to też nie deptak, choć dziś firmy komercyjne przygotowują na niej klientów przed wyruszeniem na Everest.

60 lat temu niedaleko szczytu Annapurny Lachenal zadał Herzogowi pytanie, na które każdy wspinacz musi sam sobie odpowiadać: „Myślisz, że jest tego warta?”

„Rzeczpospolita” objęła patronatem medialnym wyprawę Kingi Baranowskiej i Piotra Pustelnika na Annapurnę.

Alpinistów wsparł: Polski Związek Alpinizmu, Fundacja Wspierania Alpinizmu Polskiego im. Jerzego Kukuczki, Ministerstwo Sportu i Turystyki, Alpinus, Fiat, Plus GSM, Bank Pocztowy, WD-40, AAMen

agonii spowodowanej obrzękiem mózgu i płuc.

Dla Christiana Kuntnera z Południowego Tyrolu Annapurna miała być ostatnim ośmiotysięcznikiem do Korony. Zabił go lodowy serak, który runął z góry.

Lawina pochłonięła Rosjanina Anatolia Bukriewę, jednego z największych wspinaczy wszech czasów. I najbardziej skrzywdzonych. Amerykańscy klienci komercyjnej wyprawy na Everest, dla której pracował, nie rozumiejąc, z kim mają do czynienia, nadali mu pogardliwy przydomek Trampkarz. W lekkich butach z kołkami dochodził bowiem do 8000 m.

Francuz Pierre Beghin zjeżdżał na linie, kiedy z kruszyzny ściany wysunął się przyrząd asekuracyjny. Runął do przepaści.

Na górze tej stracił żonę Janusz Onyszkiewicz. Alison Chadwick-Onyszkiewicz odpadła

od ściany i zaginęła wraz z koleżanką.

Największa kara

Tej wiosny na wspólnej drodze od północnej strony, na którą wybierają się Kinga i Piotr, zamierzają się wspiąć Hiszpanka Eduarne Pasaban (37 l.) i Oh Eun-Sun (44 l.) z Południowej Korei. Jeśli Koreańska stanie na szczycie, to ogłosi się pierwszą kobietą, która zdobyła Koronę Himalajów.

Prawdziwość niektórych jej wyczynów budzi wśród himalaistów wątpliwości, a styl dochodzenia do celu bulwersuje.

Koreańska, wielbielka Czynghis-chana, do baz przylatywała helikopterem i czekała aż ekipa wspinaczy i Sierpów przygotuje jej trasę na szczyt. Na wierzchołek szła w otoczeniu świty. Po powrocie do bazy helikopter

„Na lasce Kamiennego Strażnika” Kajetan Berezowski –przedruk z „Trybuny Górniczej” z 25.02.2010

Artur Braszkievicz zawsze marzył o wyprawach na najwyższe góry świata. Strach jest dla niego uczuciem obcym, lecz gdy stanął u stóp Aconcaguy, serce zabiło mu mocniej.

Z Buenos Aires do Mendoza prowadzi autostrada. Później autobusem, za jedyne 80 dolarów amerykańskich, trwa ponad piętnaście godzin. Za oknem wspaniała, letnia aura i ponad trzydzieści stopni. W miarę zbliżania się do gór, robi się coraz bardziej gorąco i sucho. Zmienia się też krajobraz. Dominuje uboga roślinność, niska i krzaczasta. Artur Braszkievicz z Rudy Śląskiej, na co dzień górnik działu wentylacji kopalni „Halemba”, długo nie zapomni chwili, gdy po raz pierwszy na własne oczy ujrzał Kamiennego Strażnika (tak w języku miejscowych Indian tłumaczy się nazwę szczytu Aconcagua) w całej okazałości.

– Takiej góry jeszcze nie zdobyłem – pomyślał głośno.

Trwoga i podziw

Najwyższy szczyt obu Ameryk, zaliczany do Korony Ziemi, czyli najwyższych punktów wszystkich kontynentów, budzi trwogę, a jednocześnie podziw. Wieczorem, przy pastelowo-błękitnym niebie, zachodzące słońce otula go złocistym płaszczem swych promieni. Andy przytłaczają swą wielkością, ale i cieszą oko różnorodnością kolorów skał, od czarnego po cząwszy przez szary, grafitowy, zielony, brązowy, bordowy, czerwony, żółty, biały aż po niebieski. Skały bardzo kruche, wiele piarżysk, mnóstwo kurzu i pustyнный krajobraz.



Wraz z Arturem Braszkieviczem „Trybuna Górnicza” dotarła w Andy.

Żeby móc się wspinać, trzeba najpierw zdobyć zezwolenie miejscowych władz. Trwa to kilka dni. W tym czasie ekipy aklimatyzują się, omawiają szczegóły marszruty i przygotowują sprzęt. Gdy się już ma w rękach odpowiedni glejt, droga jest wolna.

Muł na wagę złota

– Od bram parku „Aconcagua” do bazy na Plaza de Mulas jest przeszło 30 km. Można pokonać ten dystans w jeden dzień, ale po dojściu jest się totalnie wyczerpanym. Za muła, potrzebnego do przewiezienia bagażu z Los Puquios, płaci się około 180 do-

larów. Te zwierzęta są nieocenione, zważywszy na fakt, że każdy wspinacz zabiera z sobą na wyprawę ogromne ilości bagażu – mówi Braszkievicz.

W bazie można zadzwonić z telefonu satelitarnego. Cena 2 dolary za minutę. Doładowanie baterii to 10 dolarów. Wysłanie maila drugie tyle. Zaplecze socjalne niczego sobie. Przynajmniej? A jakże, też 10 dolarów. W drodze powrotnej mała coca-cola za połowę tej sumy. Ale urok życia w bazie kończą się, gdy pada hasło: w góry! Trzeba zapomnieć o najlepszych na świecie stekach...

– Miejscowi przestrzegają przed lekkomyślnym zużywaniem

wody. Dopiero w wyższych partiach gór będzie jej pod dostatkiem pod postacią śniegu. Można będzie go topić i przyrządzać zupki chińskie – śmieje się Artur.

Nieprzewidywalna pogoda

Droga do doliny Horcones, a więc do bazy Plaza de Mulas, ułożonej na wysokości 4300 m n.p.m., trwa trzy dni. Muły dalej już iść nie mogą...

– Drugi biwak, w Konfluenci, zapamiętaliśmy wszyscy jako wyjątkowo malowniczy. Jak na dłoni rysują się partie szczytowe Aconcaguy. Sam zaś wierzchołek prezentuje się niezwykle groźnie – tak, że można nawet zwątpić w swoje umiejętności. Większość, wybierających się na zdobycie Aconcaguy, wybiera drogę przez północno-zachodnie zbocze – tłumaczy Braszkievicz.

Warunki, jakie napotkali na swej drodze nasi wspinacze, były jednak wyjątkowo surowe, od oślepiającego słońca do siarczystego mrozu i hulającego wichru. Samo wejście na Aconcagua nie stwarza jednak większych trudności technicznych. Największą przeszkodą jest zmieniająca się i nigdy nieprzewidywalna pogoda.

Aconcagua zdobyta!

– Przez następne cztery dni zakładaliśmy kolejne obozy. Pierwszy na wysokości ok. 5400 m n. p. m., drugi 600 metrów wyżej. W pierwszej kolejności zamierzaliśmy zdobyć szczyt właśnie północno-zachodnim zboczem, a później przenieść się na wschodnią stronę, aby wejść na górę Lodowcem Polaków. Decyzję o rezygnacji z drugiego wejścia podjęliśmy już w Nido de Condores, czyli w pierwszym obozie. Musielibyśmy na dobrą sprawę zaraz po zejściu do namiotów ruszyć w dalszą drogę. Opadliśmy trochę z sił. Palce już drę-

twiały od mrozu, a skóra na twarzy pękała od powiewów lodowatego wiatru. Tam wszystko jest wyliczone co do godziny: muły, autobus, samolot. Zabrałoby dwóch dni... Mówi się szkoda, ale życie jest ważniejsze. Lepiej było nie ryzykować – mówi nie bez żalu Artur.

Wyprawa, której patronowała „Trybuna Górnicza”, przystąpiła do ataku szczytowego, korzystając z dwóch dni względnie dobrej pogody.

– Przy bardzo dobrym przygotowaniu kondycyjnym, samo podejście na szczyt nie sprawiło mi większych problemów. Wysokość odczułem dopiero powyżej 6500 m. Zrobiło się też wyjątkowo zimno. O wszystkim jednak się zapomina w momencie, gdy szczyt jest tuż, tuż, na wyciągnięcie ręki. I wreszcie ten okrzyk radości: ¡Eest! To coś doprawdy wspaniałego. Chce się śmiać i płakać równocześnie. I nawet nie ma na to czasu, bo zaraz trzeba schodzić w dół – opowiada nasz bohater z takim przejęciem w głosie, jakby lada moment miał jeszcze raz wykrzyknąć z siebie te niesamowite emocje, które do dziś dnia nie zdołały go jeszcze całkowicie opuścić.

Spośród pozostałej dziewiątki, towarzyszących mu wspinaczy, na szczyt Aconcaguy weszło siedmiu.

– To bardzo dobry wynik – zapewnia Ryszard Pawłowski.

Statystyki podają, że na najwyższy szczyt Ameryki Południowej dociera zaledwie 30 procent atakujących. W 1995 r. polska wyprawa pod kierownictwem Ryszarda Pawłowskiego napotkała na niezwykle surowe warunki. Śnieżyca, burza, błyskawice. Jeden ze wspinaczy został na szczycie rażony piorunem. Drugi nie odmroził rąk tylko dzięki zapasowym rękawicom.

Dla naszych śmiarków Kamienny Strażnik okazał się bardziej łaskawy...

KAJETAN BEREZOWSKI

kberezowski@gornicza.com.pl

„Wybrałem góry” wywiad Arkadiusza Kaczora z Jerzym Zacierą-
przedruk z „Wiadomości Zagłębia” z 13.04.2010

WYBRAŁEM GÓRY

Z JERZYM ZACIERĄ, sosnowieckim alpinistą i himalaistą, rozmawia Arkadiusz Kaczor

Skąd u Pana zamiłowanie do wspinaczki?

Po górach zacząłem chodzić na początku lat 60. Wszystko zaczęło się od kolonii w Międzygórzu, gdzie po raz pierwszy za sprawą naszej wychowawczynie zostałem nimi zauroczony. Od tej pory każdą wolną chwilę, każdy urlop poświęcam na górskie wędrówki.

A gdzie do tej pory udało się być?

Byłem na pięciu kontynentach, z czego na czterech udało się zdobyć najwyższe górskie szczyty. W Europie, żeby nie było wątpliwości, zdobyłem zarówno Mont Blanc jak i Elbrus po wschodniej i zachodniej części. Kilimandżaro w Afryce, Aconcagua w Ameryce Południowej oraz McKinley w Ameryce Północnej. Ponadto dwukrotnie brałem udział w wyprawach w Himalaje. W 2005 roku wspinaliśmy się na Czo Oju (8201 m n.p.m.), gdzie udało mi się dotrzeć jedynie do obozu trzeciego, ponieważ warunki pogodowe uniemożliwiały podjęcie ataku szczytowego. Dwa lata temu natomiast zdobyliśmy Ama Dablam. Uczestniczyłem także w wyprawie na Gaszerbrum II w paśmie Karakorum w Pakistanie. Była to poważna wyprawa, gdzie szło dwustu tragarzy, było parę ton sprzętu, yaki, kozy i kury. Wszystko to wywołuje u człowieka przepiękne wspomnienia.

Jest Pan członkiem jakiegoś klubu wspinaczkowego, czy wszystko to na własną rękę?

Po naszej stronie Brynicy, od 30 lat, jestem członkiem sosnowieckiego oddziału PITK. Natomiast tuż obok, w Katowicach, ma swoją siedzibę najlepszy klub na świecie, którego członkiem był nieodżałowany Jerzy Kukuczka, a obecnie Krzysztof Wielicki, Ryszard Pawłowski, Artur Hajzer i Janusz Majer...

To znane postaci w świecie wspinaczki wysokogórskiej. Zna Pan ich wszystkich?

Znam Ryszarda Pawłowskiego, z którym wspólnie wyjeżdżamy na wyprawy. Ja się z nim zabieram ponieważ to profesjonalista w każdym calu. Wyruszałem już razem kilkukrotnie i jak widać jestem cały i zdrowy.

A która z tych wszystkich wypraw była najtrudniejsza?

Najtrudniej było na Czo Oju. Trzy noce spędzone w obozie, fatalne warunki pogodowe, które w konsekwencji nie pozwoliły zaatakować szczytu. Grubo poniżej 40 stopni Celsjusza spowodowało, że dwóch członków, którzy atakowali szczyt dzień wcześniej nabawiło się ciężkich odmrożeń. Jeden z towarzyszy stracił dzięki temu siedem palców u nóg. Innym schodziły paznokcie. Jeszcze inny tak odmroził nogi, że przez pół roku nie miał czucia. Co prawda odpowiednia rekonwalescencja pozwoliła wrócić do formy ale był to proces bardzo długotrwały.

Dorobek ma Pan ogromny. Wspomnienia, o których Pan opowiadał, są nie do przecenienia. Jednak takie wyprawy kosztują...

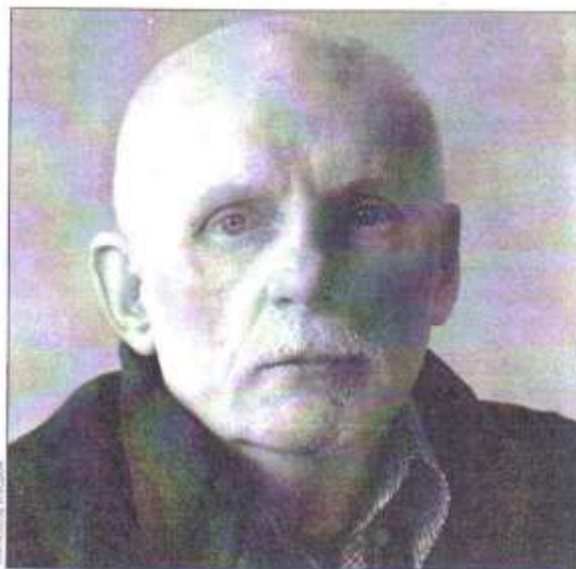
Właśnie, dlatego nie mogę jechać na Mount Everest, ponieważ wyprawa komercyjna kosztuje 70 tys. dolarów. Z etatu pracownika Telekomunikacji da się odłożyć tyle, ile się da, ale taka kwota jest nieosiągalna. Na inne ośmiotysięczniki koszty wynoszą 7 tys. dolarów plus koszt biletu lotniczego. Pakistan to koszty w granicach 5 tys. euro. Do tego sprzęt i ubezpieczenie. Każda wyprawa wymaga więc znacznych środków...

A sponsorzy...

Nigdy o to nie dbałem. Oszczędzam na czym mogę i dzięki temu finansuję sobie wszystkie wyjazdy w góry wysokie.

Czy Pana doświadczenie z gór da się w jakiś sposób przełożyć na codzienne życie?

Szacunek dla gór uczy szacunku dla drugiego człowieka. Jeżeli śpi się w namiocie na wysokości 7500 m n.p.m., to jeżeli człowiek



nie ma odpowiednich predyspozycji, może źle skończyć. Stąd niezwykle istotna jest dbałość i odpowiedzialność za partnera. Jak się jest z kimś związanym liną, to jeśli jednemu coś się stanie, drugi nie pójdzie dalej. Lina wiąże ludzi na dobre i na złe...

Opowiada Pan o tym młodym ludziom?

Nie tylko. Dziele się swoim doświadczeniem z każdym, nie biorąc za to ani grosza. Przez cały ten czas, odkąd działam w PITK, prowadzę młodych ludzi po górach, starając się zaszczepić w nich pasję. Z tych młodych ludzi niejednokrotnie wyrastali dorośli mężczyźni i kobiety, którzy tę pasję przekładali na swoje dzieci. Jeśli ktoś ma szczerze zainteresowania, to bez względu na okoliczności, zawsze będzie go ciągnąć w góry. Lepsze to, niż działka i telewizor.

„W górach nie ma bohaterów” Monika Rogozińska- przedruk z „Rzeczpospolitej” z 29.04.2010

PIOTR PUSTELNIK | Był chorowitym dzieckiem, a mając 59 lat zdobył Koronę Himalajów. Pokazał, jak iść za marzeniem

MONIKA ROGOZIŃSKA

Miał dziesięć lat i serce tak słabe po przebytych anginach, że lekarz uznał, iż chłopiec może nie przeżyć zabiegu wycięcia migdałków.

- Reumatoidalne zapalenie stawów sprawiło, że wyglądałem jak dziecko głodującej Afryki: chude rączki i nóżki, duża główka i brzuszki - opowiada Piotr Pustelnik. - Rosłem jak warzywo w szpitalach i sanatoriach.

Matka, przedwojenna olimpijka w pływaniu, drząc o jedynaka, troskliwie chroniła go przed wysiłkiem. Nawet rower był zakazany. - Z powodu mojego dzieciństwa wyglądam raczej nietypowo jak na alpinistę. Musiałem robić wszystko wbrew swoim warunkom fizycznym.

Ćwiczył po kryjomu przed rodzicami. W liceum zapisał się na zajęcia judo. - Dostałem porządnie w kość, ale po roku zacząłem przypominać człowieka - śmieje się.

Na początku był spiszek

Co go popchnęło w góry?

- Książka „Niepotrzebne zwycięstwa. Od Alp do Annapurny” francuskiego przewodnika Lionela Terraya - mówi. - Była drogowskazem. Do najwyższych szczytów dochodzi się przecież przez pokonywanie niepotrzebnego.

Na kursie wspinaczkowym w Łódzkim Klubie Wysokogórskim powiedziano mu, że jest niezdolny do uprawiania tego sportu. - Otaczali mnie przyjaciele mojej matki - wspomina. - To był spiszek. Obłąłem egzamin.

Upart się. Szkolił się prywatnie, nietypowo wówczas. - Kolejka poświęcił cały sezon w Tatrach, żeby nauczyć mnie wspinaczki.

Zdał egzamin taternicki. W wieku 27 lat sam został instruktorem alpinizmu. Stan wojenny przeczekał, robiąc doktorat z chemii. Miał żonę i dwóch synów, gdy wyruszył w góry Azji. W Kaszmirze był pewien, że umiera. Poznał koszmara choroby wysokościowej. A jednak spodobała mu się szkoła samodzielności i fantazji, jaką było organizowanie wypraw w czasach pustych sklepów i zakazu kupna obcych walut.

Wiadomość o śmierci ojca, profesora Politechniki Łódzkiej, zastała go w Pamirze w 1997 r. Dzięki życzliwości Rosjan dostał się w ciągu doby do domu. Zdążył na pogrzeb. Rok później, kiedy wrócił, Rosjanie rozpoznali go i dowieźli jego grupę wspinającą kolejką. Na Piku Korzeniowskiej (7037 m) stanął samotnie.

Dar od niebios

- Nie zapomnę wrażenia, jakie zrobił na mnie głos, który trzy lata później usłyszałem w słuchawce telefonu. Trzęsły mi się ręce.

Wanda Rutkiewicz poinformowała go, że jadą razem na ekspedycję na Gasherbrum w Karakorum Pakistanu. Piotr Pustelnik rozpoczął karierę w najwyższych górach. Miał 39 lat.

- Byłem uważany za najsłabsze ogniwo zespołu. Nie liczono na mnie. Nie musiałem pokazywać, co potrafię. To było wygodne.

Wiatr i głęboki śnieg sprawiły, że partnerzy zrezygnowali z ataku na szczyt. Wtedy wezbrała w nim sportowa złość. Poszedł sam. - Wspinałem się w Tatrach solo. Dlaczego tu miałbym nie potrafić? - pomyślał.

Na wierzchołek Gasherbruma II (8035 m) dotarł we mgle. - Dostałem dar od niebios. Chmury się obniżyły. Stałem ponad białym morzem, z którego wylaniała się tylko piramida K2. Wpadłem w panikę: cholera, co ja będę dalej robił w życiu? Przekroczyłem magiczną dla mnie barierę 8000 m. Nie ma dziewięć tysięcy. Coś się skończyło.

Zejszcie było gehenną: porwała go lawina, napotkał zwłoki alpinisty, wpadł do jeziora na lodowcu. Potem rok po roku zdobywał ośmiotysięczniki, w 1993 r. dwa na jednej wyprawie. Z Krzysztofem Wielickim wszedł na Cho Oyu (8201 m) nową drogą, a dziesięć dni później pokonali trudną trasę na Shisha Pangma (8021 m). Wrócił też na szczyt Gasherbruma II, wchodząc w ciągu 23 dni także na Gasherbrum I (8068 m).

Pierwsza szansa ataku na K2 (8611 m) się nie powiodła. Jego partner poszedł do góry, a on sprowadzał wyczerpanego alpinistę włoskiego. Zdążył jed-

nak wejść na szczyt. Za to zachowanie Polski Komitet Olimpijski wyróżnił go nagrodą Fair Play.

Miał szczęście. Z wierzchołka Manaslu porwał go z kolegą wiatr i cisnął 300 m niżej. Na jednej z wypraw na Broad Peak (8048 m) pękła lina poręczowa i spadł pół kilometra. Połamał zębra, pozrywał ścięgna. Koleżki go uratowali. Na innej wyprawie on ratował kolegę, który złamał nogę na wysokości 8000 m. Na szczyt Broad Peak wszedł dopiero za czwartym razem - w siedem dni od założenia bazy.

Nagroda i cierpienie

Stale podnosił poprzeczkę. Ogłosił projekt Trzech Koron: zdobycia Korony Himalajów - 14 ośmiotysięczników; Korony Ziemi - najwyższych szczytów kontynentów i drugich co do wysokości, co nazwał Koronką Ziemi. Konsekwentnie realizował ten zamiar.



Od czterech lat do Korony Himalajów brakowało mu tylko Annapurny (8091 m), góry kruchej, zdradliwej, która uśmierciła wielu znakomitych alpinistów. Zorganizował na nią pięć wypraw. Na jednej z nich razem z Piotrem Morawskim weszli na niższy wierzchołek Annapurny (8010 m) i zawrócili, żeby ratować oślepłego wspinacza tybetańskiego. Wielodniowa akcja sprowadzania trudną granią do bazy obcego alpinisty należy do najpiękniejszych kart ekstremalnego himalaizmu. Piotr otrzymał ponownie nagrodę Fair Play PKOl.

- Czy łatwiej jest zachowywać się fair w górach, czy na nizinach? - zapytałam Piotra przed wylotem na ostatnią wyprawę. Na lotnisko odprowadzała go nowa towarzysząca życia, matka niespełna dwuletniego synka. Starsi synowie, 33- i 27-letni należą do czołówki polskich skalnych wspinaczy.

- W górach nie ma bohaterów - odpowiedział. - Są tylko ludzie, którzy wykonują we-

wnętrzny imperatyw. Na nizinach łatwiej sprowokować drugą osobę do leż i cierpienia. Góry mi uświadomiły, że nie potrafię sobie znaleźć jednego miejsca na ziemi, choć chciałbym je mieć. Ciągłe szukam. Wydaje mi się szczerze, że znajduję to miejsce, a potem ruszam dalej. Dużo krzywdy wyrządziłem bliskim, którym tak wiele zawdzięczam. Ciężko mi o tym mówić.

Annapurny się nie bał.

- Mam wrażenie, że droga od północnej strony jest dla mnie, akurat na moje umiejętności. Jeśli wejdziemy tamtędy na szczyt, to możesz napisać, że nazwę się najbardziej zidlociałym dupkiem, jakiego w himalaizmie widziano, bo powinienem od tej drogi zacząć, a nie nią kończyć walkę o koronę - powiedział Piotr, wylatując na ostatnią wyprawę.

We wtorek, 27 kwietnia, stanął na szczycie. ■

www Więcej o wyprawie na Annapurnę

www.piotrpustelnik.pl

-Piotr Pustelnik jest trzecim polskim zdobywcą Korony Himalajów, po Jerzym Kukuczce i Krzysztofie Wielickim, oraz 21. na świecie

WYDAWCA: POLSKIE TOWARZYSTWO TATRZAŃSKIE O/PTT im.Gen. M.Zaruskiego
Organizacja Pożytku Publicznego Nr KRS 0000115547
41-200 Sosnowiec ul.3 Maja 29/4A tel: 0-32-2663815, www.sosnowiec.ptt.org.pl
Redakcja: Redaktor Naczelny - Zbigniew Jaskiernia, Krzysztof Czesak - Członek Redakcji